



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **1.50**

W Małop. i b. okup. austr. K. **2.50**

Kwartalnie Mk. 15.—

W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—

Za granicą kwart. . Mk. 20.—

Wiersz inzeratowy. . Mk. 2.—

Zmiana adresu 50 fen.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.

Telefon 78-86.

Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Krok naprzód.

Akcja pokojowa P. P. S. miała wielkie znaczenie. Obok stronnictw, które lękały się wypowiedzieć swoją opinię w sprawie pokoju, Polska Partja Socjalistyczna wyróżniła się zdecydowaną postawą: **za pokojem!** Naczelnik Państwa i rząd polski tylko wobec deputacji socjalistów mieli sposobność wypowiedzenia się w sprawie pokoju w sposób dostępny dla szerokiego ogółu. W tych tygodniach socjaliści polscy byli wyrazem dążenia dziesiątych części narodu. Bo Polska chce pokoju i może go chcieć jawnie i szczerze.

Opinia polska, nawet ta, która biegła zazwyczaj do przedpokojów koalicji, aby się tam dowiedzieć, czego ma chcieć w danej chwili Polska, nawet ta opinia jest za pokojem. Nawet w przedpokojach angielskich i francuskich zaczęto bardzo głośno i z wielkim naciskiem mówić o pokoju z Rosją.

Komiczna poza Anglii, jakoby można prowadzić przyjaciół-

ski handel z kooperatywami rosyjskimi, a nie znać rządu sowie-
tów, jest tylko dowodem niezgrabnego zakłopotania, ale nie dy-
plomacją. Wyglądałoby to tak, jakby kto zawierał sojusz np. z
Radą Główną Opiekuńczą w Polsce a nie chciał znać rządu pol-
skiego... Francuska zaś partja wojenna z miną rozpaczliwie roz-
kładanych rąk i pustych, wywracanych publicznie kieszeni, obie-
cuje szeptem „ochotników“ francuskich jako — pomoc dla „bo-
haterskiej Polski“. Jeszcze kilkuset oficerów francuskich wię-
cej może przybyć do Polski. A nawet sam generalissimus Foch
zaszczycić może na czas krótki odwiedzinami Warszawę. Ale
wojska, ani pieniędzy Francja nie obiecuje. Ameryka zaś jest
widownią walki Wilsona na śmierć i życie z większością Kon-
gresu i senatu o to, żeby się do spraw Europy nie mieszać ani
militarnie, ani finansowo. Amerykanie mają wojny dość.

Przytem Anglja i Francja mają inne troski i to takiej mia-
ry, że losy Polski są wobec nich rzeczą niemal podrzędną. Cho-
dzi o dokonanie rozbioru Turcji i o zabezpieczenie olbrzymich
zdobyczy wojennych Anglji w Egipcie i Mezopotamji, o 200 miljo-
nów Mahometan, nazywających się poddanymi angielskimi albo
będących pod protektoratem Anglji, co w praktyce na jedno wy-
chodzi. Pochodnia wojny płonąca na Wschodzie Europy może
podpalić Persję, Mezopotamję, Syryję i Egipt. Bolszewicy stają
się nadzieją Mahometan, a zwłaszcza patriotów młodotureckich...
Zgasić tę pochodnię czem prędzej! Oto hasło Anglji i Francji.
Prasa angielska i francuska, mowy Lloyda George'a niepozostawiają pod względem jasności życzeń pokojowych żadnych wą-
pliwości.

Pokojowo usposobiona Polska nie znajdzie przeszkód na
Zachodzie w uczynieniu ostatniego kroku: w przystąpieniu do
rokowań pokojowych. Co oczywiście nie wyklucza, że w pewnym
stadium tych rokowań zjawią się życzliwi doradcy i zgłoszą się
po tę czy ową korzyść dla siebie.

Ale i na północy, wśród sąsiadów bliższych Polsce widzimy
albo faktyczny stan pokoju jak np. w Finlandji, albo już zawartą
umowę pokojową Estonji z Republiką sowiecką. Zostaje Łotwa
i — Ukraina. Łotwa wywalczyła przy polskiej pomocy swoje
granice etnograficzne i dlatego przeszkód pokojowi nie będzie

stawiała. Ukraina zaś w tej chwili jest jeszcze ciągle znakiem zapytania, o ile chodzi o państwowość. W Kijowie osadzili bolszewicy „autonomiczny rząd komunistyczny“, przeciw któremu już podniosły oręż „kupy zbrojne“ ukraińskiego chłopstwa, a na zachodnim skrawku nieszczęsnego kraju słania się rozbity—jeszcze przez Denikina — rząd atamana Petlury w kraju zajęтым przez wojsko polskie przezeń wezwane. Między ideją niepodległości a autonomji w związku z Rosją waha się dzisiaj jeszcze wielka masa narodu. W tych warunkach Polska, która obroniła swoją niepodległość i zabezpieczenie granicy ze Wschodu, może przystąpić do rokowań pokojowych z Republiką sowietów z przekonaniem, że osiągnęła główne cele wojny i nie ma przed sobą żadnej wielkiej sprawy, którąby wobec Rosji chcącej pokoju, musiała rozwiązywać mieczem.

Rzeczy stoją dziś faktycznie tak, że pokój jest możliwy jeżeli Republika sowietów chce pokoju szczerze. Tego ostatniego pytania nie ośmielamy się dziś rozwiązać w żadnym kierunku. Odpowiedź na nie mogą dać tylko rokowania pokojowe. Dlatego Polska do nich dążyć powinna i to bez zwłoki. Wierzyć należy że raz zaczętych rokowań pokojowych w siódmym roku wojny łatwo nikt nie rozbije...

Rząd polski spełni wolę narodu, idąc do tych rokowań w myśl żądań Polski, dotyczących niepodległości swojej i swoich sąsiadów, wyzwolonych z pod panowania caratu rosyjskiego. Po traktacie wersalskim i w St. Germain, gdzie Austria i Niemcy musiały się wyrzec „praw“ płynących ze zbrodni rozbioru Polski, traktat pokojowy z rządem rosyjskim musi być tego wyrzeczenia się ostatecznem uzupełnieniem. Pochodowi imperjalizmów niemieckiego, austriackiego i rosyjskiego, pochodowi po trupie państwa polskiego i jego niegdyś narodów, położyć trzeba tamę na zawsze. To jest przewodnią myślą polskiej racji stanu. Jeżeli nota bolszewicka jest szczerą, nie stanie w poprzek tej racji. Jeżeli jest nieszczerą, wówczas wojna Polski i jej sąsiadów przeciw Rosji były głęboko uzasadnione.

Bolszewicy muszą okazać światu, czy są wrogami polityki caratu, czy też jego spadkobiercami.

Jak rozumiem wstrzemięźliwość proletariacką.

W artykule poprzednim „O podwalinach moralności socjalistycznej“, postawiłem sprawę wstrzemięźliwości, jako zasadniczy czynnik moralności proletariatu. Obecnie postaram się pokrótce omówić, jak ten czynnik ujmuję i pojmuję, zaznaczając z góry, że omówienie to będzie z natury ram artykułu niewyczerpujące.

Dla uniknięcia nieporozumień, pozwolę sobie przedewszystkiem zaznaczyć, że podstaw moralności danej klasy społecznej szukam nie gdzieindziej, jak w niej samej, w warunkach jej bytu i w kulturze, a więc w tem doświadczeniu, jakie ona w danych warunkach życia zdobywa.

Zarówno warunki bytu klasy najmitych, jak i jej doświadczenie dziejowe wykazują, że najistotniejszą podstawą jej siły społecznej jest zwartość i solidarność. Wszystkie zdobyte klasy najmitych mają swe źródło w zwartości i solidarności, dyktowanej przez same warunki bytu. Nic innego, jak poznanie i uprzytomnienie sobie tej siły, były podstawą realną ideologii socjalistycznej, która poprzedzała uzasadnienie naukowe. Nic innego nie było dźwignią i wiarą, że tylko ta siła jest w stanie zwyciężyć rozpylony moralnie przez ideologię „laissez faire, laissez passer“, choć potężny zewnętrznie ład społeczny.

Tę zwartość i solidarność, będącą, może nie zawsze ideologicznym, lecz faktycznym wyrazem siły zewnętrznej klasy najmitych, urabiają nie tylko warunki pracy, a więc skupienia wielkiej ilości ludzi w dużych fabrykach, kopalniach, warsztatach i t. p., nie tylko podobne warunki bytu, lecz i ten czynnik psychiczny, stanowiący wyraz siły wewnętrznej proletariatu, który ja nazywam wstrzemięźliwością.

Wstrzemięźliwość, jako podświadomy czynnik postępowania proletariusza, dyktowana mu jest przez doświadczenie życiowe i na podkładzie tego doświadczenia życiowego wyrasta. Podstawą tej wstrzemięźliwości jest nie tyle naturalne ograniczenie potrzeb i zaspokojenia zmysłów, dyktowane przez warunki współżycia, ile stałe trzymanie na uwierzy swych apetytów, odruchów i chęci indywidualnych na rzecz interesów klasy, dyktowane przez czujną i żywą opinię środowiska. Każdy krok życiowy proletariusza — czy to na gruncie pracy zarobkowej, czy społecznej — jest ograniczony przez interesy klasy. Samoograniczenie to sprawia, że najmici, należący do najróżniejszych ugrupowań politycznych, często zwalczających się zaciekle, lub obojętni politycznie, występują w sprawach,

tyczących się bezpośrednio bytu i interesów klasy naogół solidarnie, nawet wtedy, gdy łamanie tej solidarności, zdawałoby się, może im przynieść korzyść indywidualną, lub uchronić od strat. Ta to więź klasowa daje nazewnątrz obraz solidarności, zwartości proletariatu. Lecz, że ta solidarność, zwartość zewnętrzna szeregów, jest okupiona kosztem pewnej ofiary z interesów indywidualnych poszczególnych jednostek, daje ona w rezultacie w duszy proletariusza pewien odpowiednik moralny.

Zapewne, zwartość i solidarność szeregów można otrzymać inną drogą. Zwartość szeregów armji otrzymuje się za pomocą bezwzględnej posłuszeństwa rozkazom, karność. Zwartość i solidarność w bierności szerokich mas ludowych, znoszących ucisk, niewolę, ponieważ, można otrzymać za pomocą przemocy zorganizowanej, brutalnej. Lecz są to wszystkie czynniki natury zewnętrznej, niemające nic wspólnego z moralnością, zapewniająca siłę wewnętrzną. Siła armji leży niejako nazewnątrz niej i dlatego jest krucha: nawet wtedy, gdy ożywiają ją pobudki ideowe, narzucone z góry.

W psychologii proletariusza — w pierwszym pokoleniu — solidarność i zwartość mogą być i są jeszcze jeno wyrazem zewnętrznym pokory katolickiej, uległości niewolniczej, czy karności żołniersko-państwowej, nawet wtedy, gdy wskutek agitacji, skierowane są przeciw klasom posiadającym, lecz z biegiem czasu, a zwłaszcza w pokoleniach następnych, przetwarzają się w naturalne, dobrowolne samograniczenie. **To dobrowolne, nienarzucone z zewnątrz samograniczenie indywidualne na rzecz siły zdobywczej klasy, nazywam wstrzemięźliwością** i uważam za podstawę moralności proletariackiej. Jak uświadamiamy proletariatowi dla celów politycznych, społecznych wagę i znaczenie solidarności i zwartości klasowej, jako wyrazu jego siły zewnętrznej, tak samo winniśmy uświadomić mu istotę jego siły wewnętrznej — **wstrzemięźliwość**, bo uświadomienie to wzmacnia i uodparnia najmitę wśród grożących mu niebezpieczeństw.

Proletariat otoczony jest w mieście przez zgniałą moralność burżuazji. W czasach normalnych moralność ta nie oddziaływa w znacznym stopniu na najmitę. Od zarazy chroni go odosobnienie klasowe, praca wyteżona i organizacja bojowa. Ofiara trucizny i rozkładu padają jeno nieliczne, bardziej oderwane od życia proletariackiego grupy i jednostki. Lecz w chwilach katastrofizmów dziejowych, jaki przeżywamy obecnie, wykoleją się życie proletariusza.

W chwili, kiedy wała się na proletariat klęski ekonomiczne, sroży się bezrobocie, głód, nędza, kiedy rozluźniają się wskutek ciósów, idących zzewnątrz, szeregi najmitów, kiedy w czasie walki na ostrze, pierwsze szeregi wysuwają się naprzód i przenikają hufce przeciwników klasowych, oraz mieszają się z niemi; kiedy grożące bezpośrednio klęski przerażają bardziej odosobnione grupy, lub

złudnie perspektywy nęca i kusza apetyty indywidualne, — tylko świadoma wstrzemięźliwość moralna jednostek jest gwarancją takich lub innych losów klasy. Tu już hamulce zewnętrzne, organizacyjne zawodzą, a same hasła ideologiczne nie wystarczają. Odmętowi mało jest przeciwstawić organizację i hasła. Organizacja — to rzecz płynna i zmienna: podlega prawu przypływu i odpływu, a hasła — to jeno słowa. Wagę i znaczenie organizacji i hasiom nadaje sam człowiek, jego nastawienie zewnętrzne i wewnętrzne, jego stanowisko społeczne i charakter. Tylko świadome otamowanie wewnętrzne impulsów indywidualnych jednostki na rzecz interesów zdobywczycieli klasy stanowi skuteczny brzeź przeciwko kuszącej i łatwej moralności burżuazyjnej, która rzekomo wyzwala jednostkę, aby wiązać ją zzewnątrz za pomocą brutalnej władzy państwa-wy-klasowej.

Ponieważ cała cywilizacja społeczna jest zabarwiona i prześknięta ideologią i moralnością, a właściwie amoralnością burżuazyjną, nie dojdzie, że podlegają jej oddziaływaniu w pewnym stopniu przedewszystkiem walkające w szeregi życiowe burżuazji szczyty polityczne, społeczne i gospodarcze proletariatu. Wstrzemięźliwość razi je, robi wrażenie więzów krepujących, a przypominających pokorę bierną niewolników. Jest to stanowisko fałszywe, a nie mające nic wspólnego z psychiką klasy najmitych. Dla szerokich mas proletariatu, wstrzemięźliwość, jako doświadczenie dziejowe (a więc pierwiastek kultury nowej, choć starej ze stanowiska retrospekcji przewrotowej, sformułowanej przez nieodżałowanej pamięci K. Krauza), często może nieniewiedomiona, nie jest obca. Chodzi więc głównie o uświadomienie sobie jej istoty i znaczenia, jako siły wewnętrznej, jako czynnika bojowej kultury proletariackiej.

„Czuć i podtrzymywać godność ludzką przedewszystkiem we wszystkim, co się tyczy nas samych (podkreślenie moje B. S.), a poza tem w osobie bliźniego i przytem bez wszelkiego przydatku egoizmu, jakoteż bez wszelkiego stosunku do państwa lub społeczeństwa: oto prawo. Być gotowym każdej chwili podjąć z całą energią, a — w razie potrzeby — i przeciwko sobie (podkreślenie moje B. S.) obronę tej godności: oto sprawiedliwość”.

Tak określa istotę prawa i sprawiedliwości Proudhon. Nie godząc się na określenie prawa w tej części, która abstrahuje podtrzymywanie godności ludzkiej od stosunku do społeczeństwa, całkowicie się natomiast piszę na określenie istoty sprawiedliwości. Sprawiedliwość wymaga obrony godności ludzkiej często przeciw sobie. I dlatego nie może zdobyć się na przeprowadzenie konsekwentne zasady moralnej sprawiedliwości klasa, która składa się z jednostek, niedostatecznie otamowujących impulsy egoistyczne własnej jaźni. Walka o zniesienie ustroju, opartego na ucisku politycznym, społecznym i gospodarczym, to jeszcze nie jest walka o sprawiedliwość społeczną. Nie może dawać gwarancji sprawiedliwości sam fakt, że

walke poddejmuje klasa uciskana, zwlaszcza, gdy stanowi mniejszosc spoleczna. Gwarancje taka dawac moze dopiero moralnosc silna klasy uciskanej, moralnosc, ktorej podstawa jest wstrzemięzliwosc, a wiec otamowanie odruchow, apetytow i chcen indywidualnych na rzecz wiekszej spolecznej calosci.

Bronislaw Siwik.

Jak powstrzymać spadek marki.

II.

Oprócz spadku wartości marki na rynku wewnętrznym, pozostaje jeszcze zagadnienie spadku marki w stosunku do walut zagranicznych. Obydwa te zjawiska zachodzą u nas w stopniu zastraszającym. Koszty życia wzrosły o jakieś 3000% w stosunku do przedwojennych, kursy niektórych walut wzrosły kilkadziesiąt razy, jak np. franków szwajcarskich, funtów i dolarów. Wprawdzie na rynkach neutralnych spadły waluty niemal wszystkich tych krajów, które brały udział w wojnie, ale między spadkiem marki a obniżką kursu innych walut nie może być porównania. I tak np.: w końcu grudnia r. z. płacono w Paryżu za 1 L. franków 40, gdy według relacji złotej powinno się płacić franków 25,22; w Nowym Jorku dawano za 1 L. zamiast dolarów 4,86, tylko 3,83 (70% mniej); Niemcy płacili za 1 L. marek 183, gdy paryset wynosi mk. 20,43; ale wszystko to nie może być porównane z Polską; my za 1 L. zamiast mk. 20,43 płacimy mk. 540, czyli 27 razy więcej, niż wynosi domniemane parę; za dolara mk. 140, gdy powinniśmy teoretycznie płacić mk. 4,19, płacimy więc 33 razy więcej. Słowem, możemy stwierdzić, że spadek waluty polskiej w stosunku do walut obcych oraz stopień deprecjacji marki na rynku wewnętrznym stoją niemal na jednym poziomie.

Czy jest związek między deprecjacją wewnętrzną marki a jej kursem giełdowym?

Bezpośredniego związku nie ma. Analiza kursów międzynarodowych w zestawieniu z poziomem cen towarów, czyli wewnętrzną siłą kupczą pieniądza, wykazuje, iż nie może tu być mowy o zależności proporcjonalnej. (Siła kupna franka jest niemal jednakoowa we Włoszech, Francji i Szwajcarii, a mimo to istnieje znaczna różnica kursów walut między temi państwami). Natomiast pośredni związek istnieje niewątpliwie. Od jakich czynników zależy normalnie kursy interwalutowe? Od bilansu płatniczego, czyli od podaży i popytu na obcą walutę. Ponieważ my więcej towarów przywozimy, niż wywozimy, a prztem musimy wypłacać zagranicy ogromne su-

my, np. w postaci procentów, za przewóz transportów i t. p., przeto na naszej giełdzie wytwarza się wielki popyt na waluty obce i stąd cena tych walut idzie w górę. Atoli w normalnych warunkach nadmierny wzrost walut obcych doprowadzić by musiał do powstania przywozu z zagranicy z racji drożyzny zagranicznych towarów. Powtórne niski kurs naszej waluty spotęgował by eksport towarów krajowych, gdyż opłaciłoby się zagranicy sprowadzać tanie towary polskie. Wskutek tych zjawisk nastąpiłoby wyrównanie bilansu handlowego między Polską a zagranicą. Popyt w Polsce na dollary, franki i t. p. waluty obce zmniejszyłby się, a natomiast wzrósł popyt na marki zagranicą. Kurs marki szedł by w górę. Na tle niskiego kursu polskiej waluty nastąpiłoby w kraju pewne ożywienie gospodarcze, rozwój eksportu. Bo zauważyć należy, że nadmiernie wysoki kurs waluty krajowej nie jest wcale dowodem rozkwitu gospodarczego. Naprzykład: Najwyżej notuje się dziś franki szwajcarskie. Otóż niepomniernie wielka cena franka i ogromny spadek walut obcych na giełdzie w Zurychu jest źródłem dużych strat dla Szwajcarii. Eksport z tego kraju został niemal zupełnie zatamowany, również ruch turystyczny, co normalnie jest źródłem wielkich zysków. Natomiast import obcych towarów przemysłowych rośnie, wytwarzając konkurencję przemysłowi krajowemu. Kupcy i producenci szwajcarscy poczynają skarżyć się na nadmierny, za dobry kurs franka *). Otóż nie ulega wątpliwości, że w normalnych warunkach gospodarczych, przyjem, gdyby marka polska była pieniądzem notowanym zagranicą, a wypłaty z zobowiązań handlowych odbywały się zwykłą drogą — dewizami, kurs waluty polskiej ulegał by niewątpliwie pewnym wahaniom, ale ciążył stale do równowagi i polepszenia.

Podczas wojny jednak działanie normalnych praw ekonomicznych jest zawieszone. Mimo, iż istnieją doskonałe warunki walutowe dla eksportu, eksport się nie odbywa. Oczywiście nie odbywa się taki eksport, który mógłby w sposób istotny wpłynąć na kurs marki polskiej — eksport masowy o wielkiej wartości pieniężnej. To, co od nas dziś się wywozi, często z naszą szkodą (futra, dywany, materiały przez nas samych przywiezione z zagranicy i t. p.), nie ma żadnego wpływu na markę. Sumy, płynące z tego wywozu, nie stoją w żadnym stosunku do naszych zobowiązań zagranicznych. A nadto

*) Ob. The Economist z 20 grudnia 1919 — korespondencja ze Szwajcarii. Mówi się o wywołaniu sztucznej inflacji, aby (przez to obniżyć wartość franka. Proponuje się także, aby banki szwajcarskie, przy pomocy rządu, dały wielkie pożyczki krajom wschodnim: Polsce, Czechom i t. p., co umożliwiłoby rządowi tych krajów sprzedaż franka kupcom i producentom po niskim kursie. Niski kurs franka wywołać by musiał duży import ze Szwajcarii; niski kurs na giełdzie warszawskiej, praskiej i t. p. spowodowałby upadek kursu franka w całej Europie.

eksport ten nie wywołuje na giełdach zagranicznych jakiegos większego zapotrzebowania na markę polską, gdyż wypłaty odbywają się zwykle w walucie obcej.

My nie mamy prawie nic do wywożenia. Nasz przemysł włókienniczy, uruchomiony zaledwie w 30% w stosunku do produkcji przedwojennej, pracuje niemal wyłącznie dla armiji. A przemysł włókienniczy stanowił dawniej główną pozycję wywozową polskiego przemysłu. Dezorganizacja transportu utrudnia wszelki, nawet ekonomicznie możliwy eksport (nafta).

Z drugiej strony, mimo niezwykle wysokich kursów walut obcych, nie możemy skurczyć swego importu. Surowce (wełna, bawełna) są nam konieczne potrzebne; broń, amunicja, odzież dla wojska — kupować musimy, bez względu na kurs franka lub dolara. Bez względu również na ten kurs, musimy opłacać znacznie procenty od naszych długów zagranicznych, utrzymywać wielką, nadmierną liczbę ambasadorów, posłów, konsułów, delegatów i t. p. dobrze płatnych urzędników we wszystkich krajach świata.

Słowem, nasz popyt na waluty obce nie może być zredukowany. A nadto, my **możemy** płacić wysokie ceny za funty, dolary, franki. Ceny są u nas z powodu deprecjacji marki tak wysokie, siła nabywcza decydującej liczby osób tak wielka, że zawsze jeszcze opłaci się przywozić bądź zagraniczny surowiec, bądź materiał gotowy: towar znajdzie swego nabywcę, choćby był bardzo, bardzo drogi. I państwo również nietylko musi, ale i może płacić nadmierne kursy za waluty obce, gdyż państwo to niemal dowolnie zwiększa swoją siłę nabywczą, drukując marki.

Otóż w tym właśnie punkcie ustanawia się pośredni związek między kursami walut a wewnętrzną wartością marki. Kursy walut są wysokie, ponieważ mogą być wysokie, z racji małej wartości marki. Możemy tutaj również wypowiedzieć zasadę praktyczną, że o istotnym polepszeniu kursu marki polskiej nie może być mowy, dopóki trwa wojna. Pewne polepszenie mogłaby spowodować jedynie jakaś znaczna pożyczka zagraniczna, umożliwiająca rządowi dokonywanie wypłat zagranicznych, niezależnie od wysokich kursów na giełdzie warszawskiej. Łącznie z tymi iść by musiała ścisła regulacja importu (istotne zakazy przywozu przedmiotów zbędnych), oraz unormowanie obrotu dewizami — stworzenie jakiegos nowego, ulepszanego wydania Centrali Dewiz. Ale ten środek może działać jedynie na krótką metę. Jest to tlen, którym sztucznie podtrzymać można siły śmiertelnie chorego. Istotnym lekarstwem na polepszenie kursu waluty jest polepszenie bilansu płatniczego. Ale do tego niezbędna jest odbudowa produkcji krajowej na stopie pokojowej, oraz redukcja importów, do importów koniecznych i produkcyjnych.

III.

Popularne wyjaśnienie spadku wartości pieniądza brzmi: pieniądź spadł, ponieważ państwo emituje coraz nowe miliardy marek. Dlatego uważa się zaprzestanie emisji banknotów za najważniejszy środek powstrzymania deprecjacji pieniądza. Premier Skulski w programie rządowym zapowiedział, że rząd, aby podnieść wartość marki, przestanie emitować nowe banknoty, natomiast, dla pokrycia potrzeb państwa zaciągnie pożyczkę i zwiększy podatki. Znany teoretyk monetarny p. St. A. Kempner żąda również wstrzymania emisji, jako *conditio sine qua* polepszenia waluty.

Czy istotnie wstrzymanie emisji banknotów może wywierać decydujący wpływ na polepszenie stanu waluty? Teoretycznie mogłoby się zdawać, że tak. Państwo, przestając drukować nowe pieniądze, nie będzie już tworzyć swej siły nabywczej z niczego, lecz przejmie tylko tę siłę, która już w gospodarstwie społecznym istnieje. To sprawi, że ogólna suma dochodów, które mogłyby być zrealizowane na produkty, nie ulegnie zmianie; ogólny, całkowity popyt w gospodarstwie społecznym nie zwiększy się. Popyt bowiem może wypływać albo z realnych dóbr, lub usług, albo z kredytu dodatkowego, nie wynikającego z transakcji kupna-sprzedaży towarów, jak to właśnie ma miejsce w wypadku emisji banknotów, nie wywołanej przez realne potrzeby dokonanych już wymian. Otóż przy zaprzestaniu emisji banknotów to drugie źródło popytu wysycha. Odpada dodatkowy, sztuczny popyt. Ogólna ilość pieniędzy w gospodarstwie społecznym nie zwiększa się, co musi powstrzymać wzrost poziomu cen wszystkich towarów. Jeżeli bowiem suma pieniężnych dochodów nie zwiększa się, to niemożliwe jest podniesienie się powszechnego poziomu cen, nie starczyłoby bowiem realnego popytu, aby ten wzrost cen opłacić.

Tak by się, pozornie, wydawało.

Lecz zważmy, że absolutna ilość wypuszczonych banknotów nie gra roli samoistnej. Dowodziliśmy wyżej, że nawet gdyby wogóle nie było banknotów w obiegu, a procesy ekonomiczne pozostały te same, jak dziś, to deprecjacja pieniądza odbywałaby się nieunikinnie nadal. Banknot jest tylko wyrazem określonych stosunków, a dochody przecież otrzymujemy nie wyłącznie w banknotach. Suma pieniędzy nie jest równa sumie dochodów. Chyba że, jak to czyni J. Schumpeter, rozszerzymy pojęcie pieniądza na wszelkie środki, wyrażające dochód, realizowany na rynku dóbr. Schumpeter mianowicie zupełnie trafnie uważa za pieniądź: 1) towar funkcjonujący jako pieniądź (monety złote i inne towary, o ile służą do wymiany), 2)

pieniądze zdawkowe, 3) banknoty, 4) rachunki przekazowe i czekowe, 5) wypłaty książkowe i marżędzia kredytu *).

Tak pojmując zagadnienie, twierdzimy, że jeśli nie ustaną procesy, wytwarzające nadmierne dochody, dochody sztucznie wielkie, to zaprzestanie emisji banknotów, jako jednego z wyrazów siły dochodowej pozostanie bez znaczenia.

Powiedziałby ktoś, że, jeżeli państwo wstrzymuje bieg maszyny drukarskiej, a wydatki swoje zaspakaja z rezultatów pożyczki wewnętrznej, to jednak dużo się w obiegu gospodarczym zmienia. Obywatela bowiem, nabywając obligacje pożyczki państwowej, pozabawiają się tem samem odpowiednich sum dochodowych, czyli zrzekają możliwości kupienia określonej ilości towarów. Sumy te wydaje teraz państwo. Zmienia się wprawdzie kierunek popytu, ale ogólna masa popytu pozostaje niezmienną.

Tak by się zdawało, w rzeczywistości tak nie jest. Na przykładzie asygnat polskiej Kasy pożyczkowej mogliśmy się przekonać, że kupowano asygnaty nie ze zwykłych sum dochodowych, lecz z sum kapitałowych albo pieniędzy bezczynnych, to znaczy z tych sum, które nie mają wpływu na ceny towarów. Lokuje się zwykle w pożyczce państwowej sumy ekonomicznie martwe, nieruchome, leżące w pożyczkach, albo w bankach. Osoby prywatne, nabywające obligacje pożyczki państwowej, jedynie w wyjątkowych wypadkach zdecydowały się na redukcję swego dotychczasowego dochodu.

Otóż, czy dochody państwa płyną z drukarni banknotów, czy też pochodzą z zakamarków, w których gnieźdzą się ukryte pieniądze prywatnych osób, jest to prawie wszystko jedno. Pożyczka wewnętrzna w znikomej tylko mierze może zredukować dochody i popyt osób (prywatnych *) a tylko takła redukcja dochód mogła by mieć istotne znaczenie dla powstrzymania spadku wartości marki.

Właściwie rzecz biorąc, często fakt, iż dochód państwa płynie z pożyczek, a nie z drukarni banknotów, może być o tyle szkodliwszy, że od obligacji pożyczki państwowej trzeba płać procenty, a od banknotów — nie. Niektóre osoby będą pobierały procenty od sum, które leżały martwe. Wskutek czego zwiększą się dochody tych osób i wzrosnie ich popyt na towary. A więc w tym wypadku ekonomiczny wpływ pożyczki odbił by się fatalniej na zjawisku wartości pieniądza, niż druk banknotów.

*) Schumpeter. Das Sozialprodukt und die Rechenpfenige. Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik. Tom 44, str. 636 seq. Jest to jedna z najpiękniejszych prac, jakie się w ostatnich czasach ukazały o pieniądzu.

*) Nigdzie nie zaciągnięto tak wielkich pożyczek od własnych obywateli, jak w Niemczech, a jednak nie powstrzymało to deprecjacji marki. Ob. W. Prion: Inflation und Geldentwertung. Berlin, 1919. Str. 31 seq.

Należy nadto zwrócić uwagę, że obligacja pożyczki państwowej może być zawsze zmobilizowana i przekształcona na pieniądź. Obligacje można sprzedawać na giełdzie, zastawić w banku, można nawet zapłacić nią za towar. A więc nie może być mowy o tem, aby za pomocą pożyczki wewnętrznej można było skutecznie zredukować popyt na towary i przez to powstrzymać spadek wartości pieniądza.

Gdyby nawet dochody pewnych osób, zmniejszyły się nawet z racji zakupu obligacji, to byłaby to jednak redukcja czasowa. Jeśli bowiem proces tworzenia się nadmiernych dochodów na tle wojny nie ustanie, to po pewnym czasie kasy odpowiednich osób znów się napelnia i zdolność nabywania wielkiej ilości towarów na rynku zostanie odbudowana.

Edward Lipiński.



Niemiecki przemysł żelazny przed wojną.

W przemyśle żelaznym wiedzie prym angielski zmysł wynalazczy. Podczas ciągłych zamieszek w środkowej Europie w wieku 17 i 18 Anglja spokojnie się rozwijała, doskonaliła metody produkcji i ostatecznie zapanowała nad światem. Piec besemerowski, Thomasa metodę odcyszczania żelaza z fosforu, walcownie, budowę maszyn, kotłów, żelaznych mostów, statków i lokomotyw — świat zawdzięcza Anglikom. W ubiegłym stuleciu Niemiecy przemysłowcy ciągnęli do Anglii, by nauczyć się prowadzenia przemysłu żelaznego, z Anglii sprowadzali maszyny i robotników, z Anglii i innych w kapitał bogatych krajów kolportowano pieniądze, potrzebne do rozwoju przemysłu.

Niemieccy przemysłowcy świetny rozwój swego przemysłu metalurgicznego przypisują polityce celnej ochronnej Bismarka. Skrzętność Niemców, ich metodyczność i zapobiegliwość, znakomite szkolnictwo techniczne, ich zdolności organizacyjne wysunęły niemiecki przemysł żelazny na czoło państw europejskich.

W roku	1888		1900		1910		1913	
żelaza								
milij. ton surow	stali. surow.		stali surow.		stali surow.		stali surow.	
Anglja	8	2	9	5	10.5	6	11	8
Stany Zjed.	7	1.9	14	10.5	28	26.5	31.5	32
Niemcy	4	1	8	6.5	14	14	19.5	19
Francja	5.6	0.5	3	1.5	3.5	3.5	5	5
Rosja	0.5	0.5	3	2.1	3	3	4.5	2.5

Niemcy, którzy w roku 1888 wyrabiali 4 miliony ton żelaza surowego i pół miliona ton stali, w roku 1913 wytłaczali 19 i pół miliona ton żelaza surowego i 19 milionów ton stali, czyli że produkcja w tym czasie podniosła się o 500, względnie 1900 procent, podczas gdy w Anglii wyrób żelaza podniósł się o 37%, a stali o 400%. To jest stosunek względny co do stosunku absolutnego, to w r. 1888 Niemcy wytworzyły połowę produkcji angielskiej, w r. 1913 zaś stosunek się wręcz odwrócił. Niemcy wyzyskali metody angielskie, a szczególnie metodę Thomasa od pierwszej chwili pojawienia się, udoskonalili je na równi doskonałą technikę w każdej dziedzinie, przeprowadzając wzorową organizację pracy.

Metoda Thomasa nie tylko umożliwia wyzyskiwanie rud do owego czasu nieużytecznych, ale wpłynęła znamienicie na rozwój rolnictwa, dając w zuzlach, bogatych w superfosfaty, znakomity nawóz sztuczny.

Jaśniejszy jeszcze obraz przemysłu żelaznego dają cyfry wywozu i przywozu.

w milj. ton	Wywóz			przywóz		żelaza
	1901	1907	1913	1901	1907	1913
Anglija	3	5.2	5	0.9	1	2.4
Niemcy	2.6	3.8	6.4	0.45	0.9	0.6
Stany Zjednoczone	0.4	1.2	2.8	1.2	0.9	0.25

Rozwój eksportu niemieckiego jest istotnie zadziwiający. Wskazuje, że przemysł żelazny jest podstawowy dla przemysłu niemieckiego. Wielki wywóz niemiecki tłumaczą niskie ceny żelaza niemieckiego. Ceny za żelazo w Niemczech w roku 1913 były o połowę niższe od cen surowca, rudy i węgla i wzrostu cen pracy ludzkiej. Pozorną tę zagadkę rozwiązuje postęp w metodach produkcji, wyzyskanie nowych pomysłów, nowych wynalazków i masowość produkcji.

Robotnicy metalowi w Niemczech należą do najlepiej płatnych. Ubezpieczenie społeczne obejmowało tam 1.7 milionów metalowców, t. j. 16% ubezpieczonych, podczas gdy suma płacy tych robotników wynosiła 2.257 miliardów marek, to jest 19.6% całej robocizny, wypłaconej w r. 1913 w Niemczech. Niemcy, doliczając górników, pracujących dla hut, kolejarzy, zajętych dostarczaniem surowca i wywożeniem gotowych produktów, rzemieślników, pracujących dla środowisk wytwórczości żelaznej, dochodzą do wyniku, że 2 przeszło miliony robotników, a z rodzinami 8 milionów osób, żywi niemiecki przemysł żelazny. W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, Anglii i Niemcy, główni wytwórcy żelaza w Europie, sprowadzają rudę z zagranicy, z krajów całej kuli ziemskiej.

Po wojnie stosunki te ulegną głębokiej zmianie. Polska stanie się jako współzawodnik na rynku żelaznym świata. Stosunek nasz do

Niemiec jest podobny do stosunku Niemiec do Anglii w ubiegłym stuleciu. Powinniśmy uczyć się u Niemców, stosować ich i Anglików pomysłowość, wyrobić własną i po jakimś czasie prześcignąć nauczycieli.

Hn.

Interesujące doświadczenia.

Kwestja zrzeszania się inteligencji zawodowej powinna być przynajmniej raz być poruszona na łamach postępowej publicystyki — tem bardziej, że interesuje ona bezpośrednio samych dziennikarzy i pisujących w czasopismach literatów. Lecz niestety! Dopiero po czasie trzeba sięoczywiście z prasy zagranicznej dowiadywać, jak ta kwestja jest postawiona za granicą.

Cenne wiadomości przyniósł paryski „Bonsoir“ z dn. 28/XII z. r. o wysiłkach i zamierzeniach we Francji w kierunku zorganizowania inteligencji zawodowej. Idea zrzeszenia inteligencji pracującej w jeden syndykat czy związek syndykatów napotyka nietylko teoretycznie na nieprzezwyciężalne przeszkody, lecz i praktycznie okazała się bezsilna i nieżywotna. Z obowiązku ostrzedz trzeba naszych szermierzy i realizatorów tej idei przykładami i próbami z zachodu, — nie po to, by im podcinać skrzydła w ich dążeniach, lecz by ocenili obce doświadczenie i pamiętali o nich przy wykreślaniu dalekich — a nieziszczalnych może — planów.

Pod koniec czerwca z r. powzięto w Paryżu myśl złączenia różnych syndykatów i ugrupowań inteligencji i artystów: „Clearté“, „Parti de l'intelligence“, „Artisans des Jours nouveaux“, „Corporation des Artistes“, „Ecrivains combattants“, te zrzeszenie i cały szereg innych, które były jeszcze w powijakach lub które zapowiadały dopiero swoje powstanie, podjęły tę ideę, by wypracować rodzaj dyscypliny moralnej i statutu zawodowego i by na tym terenie złączyć wszystkie młode siły i ugrupowania i po dojściu do porozumienia i zgody między nimi, utworzyć Powszechną Konfederację Inteligencji, któraby stanowiła w układzie społecznym organizm obrony, solidarności i postępu dla pracowników umysłowych — podobnie do Konfederacji Pracy (C. G. T.)¹⁾.

15-go lipca r. z. odbyło się zebranie przedstawicieli najróżnorodniejszych grup inteligencji; około setki artystów, poetów, dramaturgów, malarzy, rzeźbiarzy, inżynierów, profesorów, adwokatów i t. p. zeszło się na naradę. Nad kwestją zrzeszania się gorąco de-

¹⁾ Centralna organizacja zawodowa proletariatu we Francji.

batowano i poważnie ją rozważano. Wypowiadali się za tą myślą prawie wszyscy przedstawiciele, jak R. Linzeler z „Fédération des Artistes mobilisés“, G. Pioch z „Syndicat des Journalistes“, J. Archer, prezydent „Syndicat des Ingenieurs des Mines Francaises“, Dalbris z „Chambre syndicate des membres d'Enseignement libre superieure et secondaire“, L. Netter, prezydent z „L'association des Etudiants“, Igmonet de Villers i wielu innych. Sprawozdanie z tego posiedzenia zakomunikowało o utworzeniu się Federacji sztuki, literatury i wiedzy „Federation des Arts, des Lettres et des Scienses“ (F. A. L. S.). Później wydano jeszcze odezwę — i nastąpiła krótka, wakacyjna przerwa w pracy organizacyjnej.

W październiku rzucono się z nowym entuzjazmem do zainicjowanej już pracy. Lecz nowe wypadki i nastroje udaremniły dotychczasowe zabiegi i wysiłki, przeciwstawiły się i rozbijały to, co dotychczas udało się pozytywnego zdziałać. Wybuchł strajk aktorów dramatycznych, w teatrach mechanicy połączyli się z aktorami, solidaryzując się z ich strajkiem, część inteligencji była tem zaskoczona. Niespodziewanie zaczęło się szerzyć zaopatrywanie, że poza C. G. T. — Powszechną Konfederacją Pracy — niema zbawienia, że aktor, czy jaki bądź inteligent niezem nie jest wyższy od ślusarza lub innego robotnika. Nagle jednogodność i wspólne dążenie poprzednie upadły, rozwiąły się, mnożyć się zaczęły sprzeczności i antagonizmy, wszelka iskerka nadziei na nowe zjednoczenie się i pogodzenie zagasła. Nowopowstały syndykat autorów przyłączył się bez dyskusji do C. G. T., a nieco później syndykat autorów zażądał przyłączenia się do „Federation du Livre“, należącej również do C. G. T. — a Federacja sztuki, literatury i wiedzy nie życzyła sobie najmniejszego antagonizmu z C. G. T., zaś jeden syndykat nie mógł równocześnie należeć do dwóch federacji.

Zebrała się Komisja C. F. L. S., a na jej obradach rozwiązanie tej organizacji narzucało się, jako jedyna droga wyjścia. Lecz błysła jeszcze jedna nadzieja: inżynier Archer przedstawił projekt Rady Ekonomicznej Pracy „Conseil Economique du Travail“, która miała być w najbliższym czasie utworzona i składać się z przedstawicieli C. G. T., Unji Techników, Federacji Urzędników i Federacji kooperatyw; obecność w niej inteligencji jest niezbędna; tylko musi ona się zorganizować. Wspaniałe perspektywy! Inteligencja mogła wziąć udział w tej Radzie Ekonomicznej razem z C. G. T., nie potrzebując do tej ostatniej należeć. Podjęto ponownie pracę organizacyjną — lecz już było zapóźno. Syndykaty pojedyncze, do których się zwracano, jak „Syndicat des Auteurs“, „Syndicat des Ecrivains“, „Syndicat des Journalistes“ wyrzekły się tej myśli wyodrębniania się od syndykatów pracy fizycznej, bo w nich miały już obrońcę swych interesów materialnych — a Federacja sztuki, literatury i

wiedzy nie potrafiłaby dziennikarzom zapewnić 600 fr. minimum płacy...

Wobec takiego zwrotu w stanowisku grup inteligencji „Federacja sztuki, literatury i wiedzy“ musiała zwinąć swój sztandar i ukorzyć się przed życiem i jego przyziemnymi celami i dążeniami. Inteligencja poszła tam, gdzie ją przyciągały warunki materialne i położenie społeczne, gdzie należała ze względu na pierwiastek, z którego żyje i na którym się opiera — pierwiastek pracy. Różnica między pracą umysłową i fizyczną nie była tak istotna i tak dalece decydująca, by miała stanowić podstawę i naturalny grunt do oddzielania się inteligencji pracującej od reszty ludu pracującego. Na skutek naturalnej siły ciężenia syndykaty inteligentów poszły tam, gdzie skierowała je konieczność, która zniewoliła ich pierwotnie do zorganizowania się.

Sirius.

John Galsworthy:

Pierwszy i Ostatni.

3.

Opuściwszy dom brata w Adelphi, skierował się Laurence Darrant na północ, idąc szybciej lub wolniej, to znów przyspieszając kroku. Jeśli są bowiem ludzie, którzy dzięki swej sile woli robią jedną naraz tylko rzecz, są i inni, którzy z braku silnej woli przerzucają się od jednej do drugiej z równą intensywnością. Dla takich natur, dla opanowanych przez Nemezis aż do utraty samokontroli, przestają istnieć jej powody. Raczej uspokajać się będą w swych złych chwilach słowami: „Więc cóż? I tak wszyscy umrzemy!“

Wysiłek woli, na który się zdobył, idąc do Keith'a, dał mu trochę spokoju, lecz wyczerpał go i rozdrażnił. W związku z temi trzema uczuciami pozostawała szybkość jego kroków. Przystąpił próg domu brata z nieodwołalnym postanowieniem pójścia do siebie i pozostania tam dopóki Keith nie przyjdzie. Był w ręku Keith'a, Keith wiedział, co czynić należy. Lecz nie uszedł jeszcze trzysta jardów, gdy poczuł tak straszliwe znużenie, fizyczne i duchowe, że, gdyby miał przy sobie rewolwer, zastrzeliłby się na ulicy. Nawet myśl o dziewczynie — tej młodej nieszczęśnicy z jej dziwnym uczuciem, które przykuło go do niej w ciągu tych ostatnich pięciu miesięcy i zbudziło w nim głębie uczucia dawniej nieznane — nawet ta myśl nie mogła nic uczynić przeciw tej naglej, czarnej rozpacz. Po-

coż ma iść naprzód, on, rozbitek, od siebie tylko zależy, on, zdżbło kryjące tajemnicę gnane przez każdy podmuch wiatru w tę i tamtą stronę? Czemu nie skończyć z nią na zawsze, nie unicestwić we śnie?

Przybliżał się do fatalnej ulicy, gdzie razem z dziewczyną, wczesnym rankiem, spędzili godziny w silnym uścisku, usiłując zapomnieć w miłości choć na chwilę o swym lęku i strachu. Gdyby do niej poszedł? Przyrzekł Keith'owi, że tego nie robi. Czemuż przyrzekł? Zobaczył odbicie swej postaci w oświetlonym oknie apteki. Nędzne, ciemne zwierzę! I przypominał sobie nagle psa, którego wziął kiedyś z ulic Pera, *) białe i czarne stworzenie — niepodobne do żadnego z innych psów, wciąż się błakające niby ostatni parjas. Wziął go z sobą do domu w którym mieszkał, w przeciwieństwie do obyczajów kraju; przywiązał się do niego; zastrzelił go sam, nie chcąc pozostawiać go znów na łasce i niełasce ulicy. Dwanaście lat temu! I to zdarzenie bez znaczenia z zapadłego tureckiego kąta przypominało mu dziewczynę od fryzjera w Chancery Lane, do którego chodził się golić — ładne stworzenie, podobne do dzikiej róży. Zażądał od niej pocałunku przy płaceniu. Jakże to było dziwne uczucie, gdy położyła swój policzek na jego ustach — niby czułość namiętna i wstyd, przy miękkości i cieple tego kwitnącego policzka, jej piękności i — zarazem ufną wdzięczność. Chętnie by mu się oddała — taka... tam! Nie powrócił tam więcej! Do dnia dzisiejszego nie wiedział, co go powstrzymało; do dnia dzisiejszego nie wiedział czy był zadowolony, czy smutny, że nie zerwał tej róży. Musiała mu być bardzo obojętna.

Dziwna to rzecz, życie — dziwna, dziwna rzecz! Idzie się przez nie, nigdy nie wiedząc, co się uczyni za chwilę. Ale! być takim, jak Keith, spokojny, pewny powodzenia; garnek miedziany, filar społeczeństwa! Pewnego razu, będąc dzieckiem, bliski był zabicia Keith'a, który drwił z niego. Kiedyś w południowych Włoszech omal nie zabił przewodnika, który bił konia. A teraz, ten człowiek o ciemnej twarzy, świńskie widmo, które zmarnowało dziewczynę coraz silniej przezeń kochaną — uczynił to! Zabił go! Zabił człowieka!

On, który nie uczyniłby krzywdy musze. Okno apteki uspokoiło go nagłą myślą, że miał w domu ratunek, gdyby go przyszli aresztować. Nigdy już nie wyjdzie bez kilku małych, białych pigułek zaszytych w podszewce ubrania. Spokojna, zawsze rozweselająca myśl! Mówią, że człowiek nie powinien odbierać sobie życia. Niechże poprobuja żyć w takim lęku — ci dostatni obywatele! Niech pożyją tak, jak żyła ta dziewczyna, jak żyją na świecie miliony, pod ich wymownymi dogmatami! Człowiek powinien raczej zabić się, aniżeli czuwać nad ich przekletem okrucieństwami.

*) Przedmieście Konstantynopola.

Wszedł do apteki po brom; i, podczas gdy aptekarz przygotowywał lekarstwo, stał, zgiąwszy jedną nogę, jak koń zmęczony. To „życie“, którego pozbawił tego człowieka! Pominąwszy wszystko, biljon żyjących stworzeń umiera codzień, przeważnie pozbawianych życia. I zwłaszcza nie jeden na dzień zasługuje na śmierć tak, jak ten wstrętny człowiek.

Życie! Podmucha — płomień! Nicość! Skąd więc ten łodowaty ucisk serca?

Aptekarz przyniósł lekarstwo.

— Nie sypia pan?

— Nie.

Oczy człowieka zdawały się mówić: „Tak! Pałac świecę z obydwu końców — znam to!“ Dziwne jest życie aptekarza; pigułki i proszki przez cały dzień, wieczne podtrzymywanie maszyny ludzkiej! Djabelnie dziwny przemysł!

Wychodząc, ujrzał odbicie swej twarzy w lustrze; wyglądał za dobrze na człowieka, który popełnił morderstwo. Było coś jakby radością ukrytą, uprzejmością czająca się w ich cieniach; któż — któż mógłby pomyśleć, że jest to twarz człowieka, który uczynił to, co on uczynił? Poczul, że głowa jego i nogi stały się lżejsze; szybko poszedł naprzód.

Ciekawe uczucie — ulgi i depresji zarazem! Straszne — pożądać towarzystwa, rozmowy, rozrywki i bać się tego! Dziewczyna, dziewczyna i Keith byli jedynymi ludźmi, którzy nie budzili w nim lęku. A z tych dwójga — Keith'a nie było! Któż może być towarzyszem człowieka, który nigdy nie był złym, człowiekiem prawym, któremu się wszystko wiodło; takim, który nic o sobie nie wiedział, wiedzieć nie chciał, człowiekiem pewnym czynów. Być ruchomym piaskiem, który zasypuje swoje własne postanowienia, jest źle bardzo! Lecz być takim, jak Keith — by, siłą woli, iść wciąż naprzód, deptać po swoich upadkach i słabościach! Nie! Nie może być przyjacielem takiego człowieka, jak Keith, nawet będąc jego bratem? Jedynym stworzeniem na świecie była ta dziewczyna. Ona jedna wiedziała i czuła to, co on czuł; nie wyda ich tajemnicy i kochać go będzie po śmierci. Była mu oddana. Stał i we framudze drzwi zapalił papierosa.

Uczuł naraz straszną chęć przejścia około arkady, w której położył trupa. Chęć straszną, całkowicie pozbawioną sensu, bezcelową, najzupełniej szalone pragnienie ujżenia znów tego ciemnego miejsca. Minał ulicę Borrow, idąc ku małemu zaułkowi. Widać w nim było tylko jednego człowieka, mężczyznę, w pewnym oddaleniu, z ramionami pochylonemi przeciwko wiatrowi; krótka, ciemna postać wciąż wzrastająca i zbliżająca się ku niemu w migocącym świetle latarni. Co za twarz! Żółta, zorana, okryta aż po oczy szaro-żółtą strze-

chą brody, z ciemnymi zębami, ruchowemi i nalanemi krwią oczyma. I jakie ciało wśród łachmanów — jedno ramię wyższe od drugiego, jedna noga krótsza i chuda! Fala życzliwości dla tego nieszczęśliwszego od niego stworzenia ogarnęła Laurence'a. Był on bardziej pogrążony.

— No, bracie, — rzekł, — nie wyglądasz nazbyt dostatnio.

Uśmiech, który zajaśniał na twarzy mężczyzny, był tak nieprawdopodobny, jak uśmiech na twarzy upiora.

— Dostatek nie poszedł moją drogą, — odrzekł zachrypłym głosem. Jestem wybrakowany — zawsze byłem wybrakowany. A co więcej, czy uwierzy pan? byłem niegdyś sługą ołtarza.

Laurence podał mu szylinga. Lecz mężczyzna potrząsnął głową.

— Zachowaj swoje pieniądze, — rzekł. Zarobiłem dziś więcej niż pan, ośmielię się twierdzić. Lecz Bóg zapłać za dobre słowo. Ono więcej znaczy niż pieniądze dla człowieka smutnego.

— Macie rację.

— Tak — ciągnął dalej ochrypły głos. Już niedługo umrę, żyjąc tak jak żyję. I nie straciłem szacunku dla siebie. Często dziwiłem się, jak długo może żyć człowiek w nędzy, straciwszy dla siebie szacunek. Nie tak bardzo długo. Przypomni pan sobie moje słowa. I, bez najmniejszej zmiany w monotonji głosu, dodał:

— Czytał pan o morderstwie? To tutaj właśnie. Poszedłem obejrzeć miejsce.

Słowa: „Ja też!“ omal nie wymknęły się z ust Laurence'a; powstrzymał je z uczuciem lęku.

— Życzę panu szczęścia, — rzekł. Dobranoc! — i szybko odszedł. Straszliwy śmiech dławził mu gardło, gdy biegł naprzód. Czy każdy będzie mówić o morderstwie, które popełnił? Zawsze prze-rażające widma?

(D. c. n.).

Śląsk Cieszyński.

Czy rząd nie zamierza wszcząć jaknajenergiczniejszej akcji w sprawie tego, co się dzieje na Śląsku Cieszyńskim?

TEATR.

„W małym domku“,

dramat w 3-ach aktach T. Rittnera

(TEATR „REDUTA“).

Straszne wspomnienia. Mejsi najkrwawsze!

Zawsze i zawsze. Zawsze i zawsze!

Béranger.

Jakże wiele, jak wiele jest w życiu historii, które Rittner dramatycznie w „Małym domku“ uplastycznił.

Ileż jest takich ot, Marji, co to po wyjściu za mąż niejedna z nich staje się zanedbaną kobieciną, by, natknąwszy się na przegodnego uwodziciela, przemienić się w rokokową aż do głupiej naiwności dziewczynę, która wobec konfliktów życia jest tylko biednym, nieszczęśliwym, współzucie budzącym, dzieckiem!

Marja z „Małego domku“ jest typem duchowo pokrewnym do „Głupiego Jakóba“, jest właściwie jego kobiecą odmianą.

Jest to historia duszy kobiecej, która kocha i dlatego płacze się w sieci konfliktów życiowych, nie rozumie ich, nie chce rozumieć i jest tak bardzo nieszczęśliwa.

A przecie ta dusza kocha! Czyż więc to nie jest jej wystarczającym do szczęścia prawem? Czy szczęście to spełnienie obowiązku? Czy poza obowiązkiem, formalnym obowiązkiem niema szczęścia? I czy dlatego niema, że życie złamie szczerłość, bo między ludźmi trzeba nosić maskę, tak, jak ją nosi tego szamocącego się dziecka — mąż, którego podejrzewać można o... kabotynizm?

Oto jest jeden problemat, poruszany przez Rittnera. Problemat życia.

Refleksem tego problematu jest zagadnienie moralne, przed jakim stanął doktor, czyli mąż żony, którą zabił.

Co jest regulatorem stosunków międzyludzkich? Co jest nakazem działalności człowieczej? Czy wyroki sądów i wszelkich innych instytucji, ferujących opinie, czy też jego własne sumienie?

W tym zmaganiu się człowiek nie wytrzymuje. Zabija się. Pozostaje atoli nierozstrzygniętą zagadką, czy wolał śmierć - ucieczkę, niż mękę wspomnień, czy też — do samobójstwa zmusza go wła-

śnie — kabotynizm? Jak również zagadką jest rzucony przez Rittnera problemat szczęścia dwójga na grobie dwu innych serc ludzkich. Czy kula, która trafia w serce doktora, przebija również dwa inne serca: Wandy i Sielskiego?

Sztuka Rittnera, tworzona pod wpływem tolstoizmu, Szniitzlera oraz Ibsena, który wycisnął piętno nawet na scenerji, ideowo nie jest zwarta. Raczej stawia zagadnienia, niż je rozwiązuje.

Natomiast scenicznie jest kompozycją jedną, dającą duże pole do aktorskiego popisu. Jest to sztuka par excellence teatralna.

Teatr „Reduta“ uczynił wszakże inny eksperyment. Zamiast teatru, na scenie był taki naturalizm, nawet „Zola'izm“, że często — podczas gry p. Dulebianki — otrzymywaliśmy złudzenie, nawet nie! bynajmniej nie - złudzenie! Byliśmy podczas wiwisekcji duszy Tę operację aktorzy wykonywali na widzach.

Nie wiem, czy dobrze, czy pedagogicznie jest — z punktu widzenia sztuki — odbierać widzom świadomość, że się znajdują w teatrze. Jeżeli nie jest dobrze, to należy się p. Kochanowiczowi podziękować za to, albowiem w swej, wprowadzając niezwykle konsekwentnej, kreacji ciągle — nie dając wszakże złudzeń poezji — wytrącał nas z tej płaszczyzny gry aktorskiej, w którą wprowadziła nas p. M. Dulebianka, grająca rolę Marji, grająca jeśli chodzi o naturalizm w reżyserji p. Osterwy i Limanowskiego, wprost nadzwyczajnie. Ten rodzaj gry aktorskiej jest już życiem, przestaje być grą, przestaje być sztuką, bierze rozbrat z poezją.

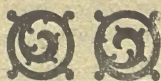
Nie jestem jego zwolennikiem. Ale przyznać trzeba, że to, co uczyniła pod względem technicznym p. M. Duleba, jest już *non plus ultra!*

Tak, to jest artyzm życia. To nie jest teatralna sugestia poetycka, ani mistrzostwo aktorskie, lecz artyzm życia, który wywołuje ból patrzenia, zrywający przedział między aktorem a widzem. Nawiazanie wszakże jednolitości następuje nie poprzez *gaya scienza* aktorską, lecz przez tragizm sztuki, która chce siebie zatracić w życiu.

O grze innych artystów pisać trudno, obracali się w orbicie tych dwu typowo diametralnych kreacji: doktora i Marji. Raziło tylko imitowanie Kamińskiego, a p. Kamińskiego stać przecie na ton własny. Prawda?

A propos. Czy nie jest trochę dziwne jedno zjawisko: Rittner ci, Rittner la...

Wł. Wolert.



Sztuka.

Wystawa „Sztuki“ w Zachęcie

Śladem Paryża, Monachjum i Wiednia, grupa artystów polskich, krakowskich przeważnie, związała się pod przewodnictwem Stanisławskiego w ściśle zamknięte stowarzyszenie, pod nazwą „Sztuka“. W czasie dwudziestokilkuletniego istnienia „Sztuki“ w łonie stowarzyszonych, zaszły duże zmiany. Ubyli jedni, wstąpili drudzy, lecz zawsze artyści o talentach wybitnych i poszukujący dróg nowych. Wystawy „Sztuki“ z racji tej, należały do bardzo interesujących, gdyż poziom dzieł wystawionych był wysoki.

I obecna wystawa w Zachęcie zadawała poziomem ogólnym prac stowarzyszonych artystów, jakkolwiek ich autorzy różnią się siłą i rodzajem swych talentów. Należą oni wszyscy do znanych i uznanych; ich prace, wysoko cenione, są poszukiwane i rozechwytywane przez amatorów i miłośników sztuki, a że wystawionych dzieł jest bardzo wiele, przeto poważna ich ilość stanowi już własność prywatną.

Ilością prac wystawionych, oraz rodzajem odczuwania i odtworzenia efektów natury, zwraca uwagę Wojciech Weiss, technik wytrawny, doskonały rysownik i subtelny kolorysta. Ścisły naturalista początkowo, stał się impresjonistą a la Renoir, lecz różni się od swego francuskiego poprzednika, tworzy bowiem bardziej na zimno, aniżeli z głębi uczucia. Naturalizm, któremu dawniej hołdował, z wieków go i teraz nie wypuszcza, nie pozwalając w kompozycjach figuralnych wydobyć tej poezji, jaka się im należy. A w pracy takiej, jak „Psy“, artysta staje się trywialny.

Mehoffer, który swe witraże komponował z tysięcy drobnych plamek barwnych i otrzymywał efekty silne, kolorystycznie, a nie odczuwał powagi linii i monumentalności płaszczyzn, jakimi odznaczały się genialne prace Wyspiańskiego, poczyną obecnie i portrety traktować, jako drobne dekoracje, wypełniając ich tła małutkimi plamkami, odbierającymi całości znaczenia poważniejszego. Gubiąc się w drobiazgach w portretach malowanych, okazuje znużenie i brak świeżości i charakterystyki w rysunkach.

Również prace Axentowicza wykazują już dawno urobione, a zbyt często powtarzane typy głów kobiecych, przyczem ich romantyczność łączy się ze zbytnią słodkością wyrazu. Kiedyś mogło się to podobać, ale obecnie wymaga się czegoś poważniejszego od artysty, cieszącego się dużym uznaniem.

Nie można pochwalić aktu kobiecego, namalowanego przez

Pieńkowskiego, naturalizm brzydkich form razi. Lecz inne prace tego artysty są dobre.

Jarockiego prace grają siłą barw i światła, gdy **Sichulski** staje się jakiś dziwnie bezbarwny, szary, młeki. Może to jest chwilowe zmęczenie.

Szare, ale silne, niektóre bardzo pociągające, są prace **Kamockiego**, lecz do najbardziej interesujących należą obrazy **Filipkiewicza**. W nich, na ogół, barwy, światło, powietrze, łączą się w harmonijną, piękną całość.

Dla **Stabrowskiego** natura jest tylko środkiem, przy pośrednictwie którego artysta, tworząc swe obrazy, wyraża uczucie swej duszy. Stąd prace jego posiadają dużo nastroju głębokiego, serdecznego, a więc i dużo wartości.

Przedstawicielem rzeźby jest tylko **Wittig**. Wykonany przez niego portret Piłsudskiego, jest traktowany w szerokich płaszczyznach dobrze, lecz brak mu życia i tego orlego, w twarzy Piłsudskiego, charakterystycznego wyrazu.

Nieudolnym jest pomysł pomnika „Rycerze wolności”; zestawienie banalnego anioła i idących żołnierzyków, świadczy o pojęciu kompozycji nie przez wyrobionego artystę, ale dziecko kilkunastoletnie.

Na ogół wystawa „Sztuki” świadczy o wysokim poziomie dzieł i dużych talentach ich twórców, jednak nie wyczuwa się w niej powiewu młodości, świeżości, szukania dróg nowych, a więc tego, co nadadło „Salonowi” warszawskiemu taki pociągający urok.

Z racji wystawy „Sztuki”, należy zanotować wielkie podniesienie cen na obrazy artystów naszych. Poszukiwane przez różnych donobliwiczów, czy paskarzy, jako doskonała lokata kapitałów, obrazy w krótkim czasie zostały wykupione, tak, iż artyści mają pracownie ogolococone. Zaskoczeni tym malarze warszawscy, wyzbyli się swych prac, sprzedając je po cenach niskich, bardziej przezorni członkowie „Sztuki” ponaszczali ceny odpowiednio wysokie, bo dochodzące do 50 i więcej tysięcy za obraz. Jest to zjawisko w dziejach naszego artystyki nowe. Wszak przed dwudziestu parą laty Wyspiański wykonał witraże do kościoła Franciszkanów w Krakowie za 360 zlr., przyczem wypłacono mu tę nędzną sumę ratami i gnoszami! Dziś kolekcja wystawionych obrazów Weissa przedstawia wartość kilku milionów!

Zmieniają się czasy...

Wystawa rysunków, akwarel i szkiców Jana Matejki.

W sali Towarzystwa artystycznego (Tęgińska 10) otworzona została wystawa omalże tysiąca rysunków, akwarel i szkiców wielkiego mistrza **Matejki**.

Celem tej zupełnie niespodziewanej wystawy było wyprzedanie posiadanych przez rodzinę artysty mnóstwa przeróżnych szkiców, studjów i pierwszych pomysłów kompozycyjnych, wykonanych ołówkiem, a więc tak wielce charakterystycznych prac genialnego od-twórcy naszych momentów dziejowych.

Gdyby podobna, a tak nieoczekiwana okazja mogła mieć miej-sce w któremkolwiek środowisku artystycznym Zachodu, muzea pań-stwowe i amatorzy rozbiegliby prace takie w pierwszej chwili ich pojawienia się na rynku, ale u nas dzieje się zwykle inaczej. Ani Ministerjum kultury i sztuki (które powinno było kolekcję tę w całości nabyć), ani zarząd Muzeum Narodowego, ani amatorzy, wogóle nikt nie pośpieszył się powiększyć zbioru swe, jedynemi w swoim znaczeniu pracami genialnego Matejki. Zarówno instytu-cje urzędowe, powołane do podtrzymania rozwoju sztuki, jak i do jej krzewienia, ani publiczność nasza zdają się niedoceniać wartości, jaką posiadają rysunki, te pierwsze notaty, rzucone ołówkiem na papier, te powstające w duszy artysty pierwsze odruchy twórcze.

Dziwna rzecz, że w chwili obecnej, gdy wielu łatwo wzbogaco-nych ludzi lokuje swe kapitały w dziełach sztuki, żaden z tych świeżo upieczonych krezusów nie wyszukał, iż zakupiwszy całą tę kolekcję ry-sunków Matejki, zarobiłby w krótkim czasie miliony. Alle przygodni mecenasi sztuki ani domyślają się, co za wielką wartość artystyczną, a więc i pieniężną, mieści się w rysunkach dobrych artystów. Nie-dorośli oni do takiego zrozumienia, gdyż to jest udziałem natur obda-rzonych subtelniejszym zmysłem. Lecz nadejdzie czas, że i u nas za rysunki płacić będą poważnie sumy.

Wystawa karykatur „Szczutka“ w klubie artystycznym Hotel Polonja.

Rodzaj rysunków, noszący nazwę „Karykatur“, należy do naj-trudniejszych działów sztuki. Być karykaturzystą, znaczy, być uro-dzonym artystą, obdarzonym przez naturę specjalnym darem subtel-nego wyczuwania wszystkiego, co jest najbardziej charakterystycz-ne w twarzy czy postaci człowieka, w ustroju form zwierząt lub na-wet przedmiotów martwych. Karykaturzysta musi posiadać wysoką umiejętność odtwarzania tych cech charakterystycznych, lecz w stop-niu spotęgowanym lub umniejszonym, zależnie od natury postaci czy przedmiotów karykaturowanych.

Dotychczas nie mogliśmy się poszczycić dobrymi karykaturzy-stami, lecz wystawa obecna rysunków, umieszczanych w piśmie hu-morystycznym, a raczej satyrycznym, „Szczutka“, wykazała kilka wy-bitnych i w tym rodzaju sztuki talentów. Taki Kazimierz Grus jest artystą pierwszorzędnym nie tylko bowiem w rysunkach swych pod-

kreśla wybitnie stronę charakterystyczną przedmiotu, ale zwraca uwagę i na znaczenie każdej linii. Nierzadko kierunek linii stanowi charakterystykę danej rzeczy, a że linia taka jest zarazem dekoracyjną, przeto kompozycje tego artysty należą do wybitnie artystycznych.

Wybornemi są też karykatury Marji **Berezowskiej**, albowiem artystka z wielką finezją umie podpatrzyć i odtworzyć bezdenną głupotę snobizmu w życiu i sztuce, podkreślając zarazem rys erotyczny. Ci „zlechlacy“, jak i godne ich towarzyszki, są wspaniale rysunkowo odtworzeni, a nawet z umiarem estetycznym.

Bardziej brutalne w odtworzeniu i tematach są karykatury **Świdwińskiego**, zaś u **Mackiewicza** przeważa pewien sentymentalizm, gdy **Pautsch** z siłą odtwarza różne sceny galicyjsko - austriackiego politycznego lajdactwa.

Nieporównanie wspaniały, jako portrecista - karykaturzysta, występuje w wielkim szeregu osobistości znanych **Głowaek**. Jest to artysta dużej miary, poważnie sztukę swą traktujący.

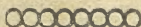
Prace artystów innych, karykaturzystów przygodnych, dopełniają całość tej bardzo interesującej wystawy, która dlatego, że składa się z rysunków, więc przez naszą wielce szanowną publiczność jest lekceważona.

Daje to dobre świadectwo o pracach artystów, ale zle o publiczności, wcale estetycznie niewykształconej.

Wystawa prac prof. Konrada Krzyżanowskiego.

W Salonie polskiej sztuki nowoczesnej, który urządzać będzie wystawy specjalnie twórczości pewnego artysty, lub pewnych grup artystycznych poświęcone, pierwszą specjalną wystawę wypełniły prace prof. **Konrada Krzyżanowskiego**, składające się z portretów krajobrazów, wnętrzy i rysunków.

Krzyżanowski, jeden z najznakomitszych portrecistów naszych doby obecnej, imponuje w pracach swych siłą wyrazu i plastyki, oraz śmiałości, brawurową techniką, znamionującą urodzonego malarza. Te zalety nadają jego rysunkom wyraz świeżości i tężenia życia, tak rzadko napotykanego w rysunkach artystów innych. To też prace jego, wykonane ołówkiem, zarówno jak i malarzkie, stają się ozdobą każdego salonu lub zbiorów dzieł sztuki współczesnej.



Przegląd muzyczny.

Opera—Filarmonja—Konserwatorium—Operetka.

Przegląd mój objąć ma parę ostatnich tygodni.

Rozpaczam oczywiście od **oper**y, której — teoretycznie — należy się wśród placówek kultury muzycznej — pierwsze miejsce. Niestety, jak już wiadomo czytelnikom „Trybuny“, choćby tylko z trafnej oceny ogólnej, danej na tem miejscu przez mego poprzednika, w stolicy naszej, teorii nie odpowiada praktyka, przynajmniej w tym sensie, że opera warszawska nie stoi na wysokości swego zadania. I pod tym względem w okresie, z którego zdaję sprawę, nic się naturalnie nie zmieniło. Trudno bowiem, aby pewne organiczne wady znikły nagle.

A więc repertuar wykazuje nieznużenie w dalszym ciągu: „Fausta“, „Opowieści Hoffmana“, „Toscę“, „Eugenjusza Oniegina“, „Hugonotów“, „Pajace“, „Lohengrin“ i t. d. „Wznowienia“ w rodzaju „Lohengrina“, lub „Manji“ Statkowskiego, nadal zastępują nowości. Trzeba podzielić się jednak z czytelnikami nowiną, którą pokryła już patyna: że prawdopodobnie (nigdy nie należy być niczego na świecie zupełnie pewnym), usłyszymy w najbliższych dniach „Waltrykję“ Wagnera; zresztą, jak w ostatniej chwili gdzieś przeczytałem, także tylko... „wznowienie“ (podobno; nie wiem tego, ponieważ zeszłoroczny tutejszy sezon muzyczny śledziłem tylko zdaleka i z konieczności niedokładnie).

Reżyserja nadal nie umie zdobyć się na choćby kszkę tylko pomysłowości, oryginalności. Stęchlizna wieje ze starych oper, co gorsza, ze starego, klasycznie szablonowego sposobu ich wystawiania. Od reżyserji szablon przerzucił się, zarażliwie, na najlepszych nawet śpiewaków, którzy — to odnosi się czasami wrażenie — nudzą się w trakcie przedstawienia, nudzą publiczność i mole swoje traktują z nonszalancją zgola nieprzystojną. Taki jeden z drugim bohater lub bohaterka — nomina sunt odiosa; obawiam się gromów — w chwili, w której nie śpiewa, spogląda dokoła siebie i na towarzyszków swoich na scenie, jakby to on był widzem, a nie grającym aktorem, uczestnikiem widowiska i jego współtwórcą. Przytem te stereotypowe, aż do obrzydzenia zbanalizowane ruchy!... Ci ludzie zupełnie zapominają o tem, że dzisiejszy aktor operowy, jeśli chce się utrzymać w pierwszym szeregu, conajmniej w równym stopniu, musi być artystą-aktorem, co, artystą-śpiewakiem. Gdybyż to z grobu wstał mógł nieodżałowany Bandrowski i dać lekcję sztuki dramatycznej niektórym artystom naszej opery. Wyróżniam **Brzezińskiego**. Świetny ten śpiewak, — jeden z niewielu — naprawdę i szczerze gra.

Kneowane przez niego postaci żyją, żyją swem życiem indywidualnem; o nich nie można powiedzieć, aby jedna bliźniaczo podobna była do drugiej. (Np. świetny Eugenjusz Onegin lub Telramund). — Każde pojawienie się Brzezińskiego na scenie wnosi coś ożywczego w całą produkcję.

Chóry obecnie, jak i poprzednio, chronicznie niedomagają. Co jednak najbardziej razi w tym tak ważnym czynniku przedstawień operowych, to jego marionetkowość: wychodzi na scenę tłum lub grupa ludzi w pięknych kostjumach, ustawia się szeregilem przed pulpitem dyrygenta i śpiewa, jakby recytowała lekcję przed profesorem lub ponusza się, jak makrełona.

Zamiast sztuki — na każdym kroku sztuczność — i szablon. Zamiast zwartej całości — przedstawienia wyprost się rozłazią. Jakżeby tutaj przydał się drugi Szyfman!...

Niebanalne, żywe, pełne barw i koloru są tylko dekoracje i kostjumy, jeśli projektował je p. Drabik.

Natomiast sławny balet warszawskiej opery często dotkliwie niedopisuje. Widziałem mazury, którychby się powstydziała prowincjonalna scena! I to mimo, że poszczególnych wykonawców świetnych nie brakuje. Więc znów brak tylko ostatecznego dotknięcia sumiennej i zdolnej ręki reżyserskiej.

Filharmonja w okresie sprawozdawczym żyła życiem względnie najbujniejszym.

Słyszeliśmy muzykę klasyczną: Mozarta kilka utworów, Beethovena (dalszy ciąg cyklu symfonji, w szczególności symfonię piątą i szóstą); romantyków: Chopina i Schumana — bardzo niewiele: Chopina koncert f-moll (fortepian z orkiestrą), Schumana koncert fortepianowy a-moll, również z orkiestrą. Najczęściej zjawiał się na programach także konserwatorium — Brahms, ten potentat muzyki symfonicznej, ani w ścisłym znaczeniu klasyk, ani romantyk, a jednak blisko stojący i jednych i drugich: przez muzykę jego przemawia bowiem do nas zawsze człowiek nowożytny, głęboki, o rozległej skali przeżyć, operujący zupełnie już rozwiniętym zasobem środków uzewnętrzniania się, a w monumentalnych formach. — Brak było zupełnie Bacha. Z modernistów niemieckich usłyszeliśmy R. Straussa „Don Kiszota“ i Busoniego „Suite orkiestrową z muzyki do komedji Gozziego p. t. Turandot“. Oba te utwory dosiegają szczytu sztuki wyzyskiwania orkiestry, jako środka ekspresji, ściślej: opisu. Pomijając bowiem wszystkie inne właściwości tej muzyki, nazwałbym epikami tych twórców, z których Busoni, jako kompozytor, jest ostatecznie oryginalnym epigonem tylko Straussa.

Podobnych rzeczy dowodzi u nas z fortepianem i opartą oń pieśnią Karol Szymanowski. Szymanowski jest oczywiście znacznie wszechstronniejszy i głębszy i to moje określenie nie ma pretensji do wyczerpania całej jego bujnej indywidualności antystycznej. —

Wspominam o nim na tem miejscu dlatego, że na koncercie, jego kompozytorskiej twórczości poświęconym, w konserwatorium, wykonane zostały (świetnie: przez p. Stan. Szymanowską), przeważnie jego pieśni, które takie właśnie uczyniły na mnie wrażenie.

Muzykę polską nowszej daty reprezentowały w koncertach filharmoniji dwa utwory: po raz pierwszy wystawiona symfonia p. **Kazury**, p. t. „Wiosna“, na orkiestrę, chór mieszany i solo sopranowe: dzieło, nie wyrastające ponad skromnie zakrojoną miarę, oraz **Opięńskiego** poemat symfoniczny „Zygmunt August i Barbara“, napisany z talentem i znawstwem orkiestry, interesujący, choć może niezbyt oryginalny. — Na osobną wzmiankę zasługuje poranek, poświęcony Karłowiczowi, który wypełnił salę Filharmoniji po brzegi i dodatni symptomat ukulturalnienia naszej publiczności. Wykonane zostały: „Powracające fale“ i „Pieśni odwieczne“, oraz cały szereg przepięknych pieśni tego — wśród młodszych polskich kompozytorów — mistrza zwycięgo, treściwego wyrazu muzycznego. Karłowicz odszedł od nas za młodo.

Gdy o porankach mowa, — podkreślić należy, że są produkcje, jedne z niewielu, których układ przejawia wyraźną myśl planową, umiatalezniającą się od dyspozycji solistów. Dowodem poranki pedagogiczne, poranki, poświęcone Wagnerowi, z p. C. Jellentą, jako prelegentem, oraz specjalny poranek, poświęcony pieśni w jej klasycznych przedstawicielach: Tengollesem, Mendelssohnie, Liszcie, Szubercie. I tutaj interesujące słowo wstępne wygłosił p. C. Jellentat, rzadki artysta słowa żywego.

Kilka słów o wykonawcach.

Z pośród nich wyróżnia się wybitny talent na razie przedewszystkiem techniczny, zdradzający jeszcze niedostateczne pogłębienie. Z miejscowych znanych sił, mieliśmy znów cenną sposobność usłyszenia obu braci **Kochańskich**, których każdy występ ściąga do sali koncertowej tłumy publiczności. Świadczy to znów o umiataleznieniu stołecznej publiczności. Obaj bowiem Kochańscy są to artyści rzadkiej miary. — Na koncertach symfonicznych wystąpili ponadto: **Zbigniew Drzewiecki**, oraz p. **Familier-Hepnerowa** — pianistka, Warszawie znana ze swych zalet.

Wystąpiła też ponownie — **Erika Morini**. Ta niesłychanie reklamowana artystka jest jednak znacznie sympatyczniejsza i więcej warta, aniżeli sądziłoby można, gdyby — jak się to ma ochotę uczynić — rzeczywiście wartość mierzyć stosunkiem akuratanie odwrotnym do krzykliwości ogłosu. P. Morini nie można też winić za to, że technice posiada naprawdę zadziwiająca, a temperament — południowy: wszystko podstawowe czynniki reklamy. Tem bowiem tłumaczy się fama, która idzie przed nią i tworzy zarówno ciekawych jej, jak pogardliwie wzruszających ramionami sceptyków, zaim jeszcze sama Erika Morini pozwoliła się usłyszeć.

W konserwatorium odbył się, prócz koncertu kompozytorskiego, Szymanowskiego, o którym wyżej wspomniałem, i prócz jednego wieczoru kameralnego, którym to produkcjom poprzednik mój słusznie poświęcił wyrazy uznania bez zastrzeżeń, — odbył się interesujący koncert i pokaz instrumentów smyczkowych, wytworzonych przez Polaka, inż. **Panufnika**. Inż. Panufnik, jak pouczyła nas wstępna prelekcja prof. Rosenzweiga, posiada patentowany sposób budowania instrumentów dobrych, sposób, polegający nie na przypadkowym ale na naukowo ugruntowanem odkryciu warunków, od których zależy wielkość i piękność tonu skrzypiec lub wiolonczeli. Jako wykonawcy, zaprezentowali publiczności instrumenty p. Panufnika profesorowie: Barcewicz, Klejn, Cink i Jastrzębski. Wytwory polskiego wynalazcy zdobyły sobie uznanie wśród znawców, nie dorównujące jednak reklamie.

Jeszcze jedna placówka muzyczna domaga się wzmianki: **opereka**, przybytek wesołej muzy w „Nowościach“. Cała działalność tego teatru wyczerpuje się w wystawianiu dzień w dzień, od szeregu miesięcy „Róży Stambułu“. Pod tym względem zaczyna nasza scena operetkowa, a raczej nasza... operetkowa publiczność konkurować skutecznie z Wiedniem. Tam ilość przedstawień jednej operetki, w ciągu roku, mogła dochodzić do imponującej cyfry — 250.

Zdarzeniem muzycznym, którego w przeglądzie ostatnich tygodni pominąć nie można, jest muzyka Różyckiego do „Nieboskiej komedji“. O tem następnym razem.

J. R.

Kronika gospodarcza.

Rosja Sowieków w świetle bolszewików.

II.

II. Sytuacja w Moskwie i Petrogradzie.

1) Moskwa: Powyżej widzieliśmy, jaki rezultat wynika dla Moskwy z katastrofalnej sytuacji transportowej i kryzysu uopałowego. Dorzucimy jeszcze kilka wiadomości o środkach przewozowych w stolicy komunistów.

Tramwaje: W październiku r. ub. kursowało po mieście 150 wagonów; w lipcu liczba ta wynosiła 250 sztuk; w styczniu — 320; w sierpniu 1917 r. przeszło 1.000. Odczuwać się daje dotkliwie brak

pracowników, nietylko wykwalifikowanych robotników, ale zarówno codziennych, jak i pracowników biurowych. (Nr. 221).

Sila pociągowa zwierzęca: Przed listopadem 1917 r. znajdowało się w Moskwie około 110 — 120 tysięcy koni; w kwietniu 1918 r. liczba ta spadła do 21,000; na wiosnę 1919 r. — do 12,000, a na jesień r. ub. wynosiła tylko 8,000 (t. zn. 3% z czasu poprzedzającego komunizm). (Nr. 207). Te cyfry wyjaśniają dostatecznie powody, które kierowały władzami sowieckimi, gdy ogłaszały one konkurs z krótkim bardzo terminem na konstrukcję „wózka ręcznego dla przewożenia towarów“ z maksymalnym obciążeniem przy minimalnym zużyciu energii.

Ceny artykułów pierwszej potrzeby w Moskwie dn. 17 września: Czarny chleb 50 do 55 rb.; mąka żytnia 2.200 do 2.400 rb. pud.; mąka pszena 65 rb. funt; cukier 280 rb. funt; sól 115 rb. funt; masło 400 rb. funt; mleko 25 rb. mały garnek; wołowina 75 do 120 rb. funt; śledzie 70 do 100 rb. sztuka; kartofle 12 do 14 rb.; jaja 170 rb. dziesięć sztuk; herbata 1.250 rb. funt; mydło do prania 100 do 280 rb. funt; zapaliki 15 rb. pudełko; świece 340 rb. funt; obuwie od 1.500 do 5.000 rb. para; penkal 80 rb. arszyn. (Nr. 207).

2) Petersburg. **Ceny w Petersburgu 20 września r. ub.** Wołowina 180 do 190 rb. funt; masło 440 do 460 rb. funt; cukier 360 do 380 rb. funt; kartofle 20 rb. funt. (Nr. 210).

Ceny 3 października: Masło 650 rb. funt; cukier 550 do 580 rb.; kartofle 30 rb. (brak); chleb 100 rb.; sól 140 do 150 rb. funt. (Nr. 221).

Niestety dane cen w Petrogradzie są bardzo niekompletne, lecz z tego nawet co mamy podane do wiadomości, widać, że głód jest tam większy, niż w Moskwie. We wrześniu ceny przewyższały od 50 do 100% moskiewskie. W przeciągu dwóch tygodni (od 20 września do 30 października) podniosły się o 33 do 50%. Wiadomości odnoszące się do cen październikowych w Petrogradzie wykazują zwłaszcza gwałtowny wzrost ceny chleba.

Niezwykłe wysoka cena soli, nawet w stosunku do obecnego rosyjskiego stanu tłumaczy się jej najzupełniejszym zniknięciem z rynku. W niektórych miejscowościach ludność kraje na kawałki beczulki w których przechowywano śledzie i temi nasyconemi solą drewniakami soli jedzenie, gotując je z nim razem. (Nr. 205).

Z nastaniem chłodów w Petersburgu (Nr. 227 z 11 października) „postanowiono przyspieszyć przymusowe kwatrowanie robotników i żołnierzy czerwonej armii, nie dokonywać niezbędnych reparacji w domach z centralnem ogrzewaniem i porozmieszczać robotników w domach ogrzewanych przy pomocy pieców. Lokatorowie mieszkali, w których robotnicy zostają zakwaterowani, będą mogli w nich pozostać, wyjednaawszy sobie pozwolenie komitetów fabrycznych“.

Z całej ilości drzewa, które przychodzi (ilość ta jest wprost śmiesznie mała) 75% zostaje oddane kolejom żelaznym, flocie bal-

tyckiej i elektrowni. Rozbiórka tratw dała 1.919 sążni kw. drzewa, rozbiórka domów zaś — 7.186 sążni. Wobec ostrego kryzysu opałowego, postanowiono rozebrać pewną ilość domów drewnianych, nie zamieszczonych na listach. Da to około 10.000 sążni kwadratowych (Nr. 227). S

„Wobec braku opału postanowiono połączyć kilka szkół w jedną; urzędnicy i uczniowie wyższych klas będą sami dostarczać drzewa, pracując przy rozbiórce domów lub przy rozpilowaniu tratw“ (Nr. 227).

(Jest to doskonałym przykładem świetnego stanu szkolnictwa w Rosji komunistycznej, fak bardzo chwalonego w Europiei!).

Zamykanie fabryk i warsztatów w Petersburgu dobiega końca.

Zamykanie fabryk i warsztatów w Petrogradzie dobiega końca. Z ogólnej liczby (— nie została ona niestety podana) tych, które miały być underuchomione, będzie pracować 46 małych fabryczek, zużywających ogółem 3.000 sążni kwadratowych opału. By inne fabryki miały paliwo, zostaną na przestrzeni 100 kilometrów naokoło Petersburga wycięte lasy“. (Nr. 228).

Wiadomości nie wymagają komentarzy. „Eldorado komunistyczne“ stwarza ludności Petersburga bardzo żałosne warunki egzystencji. Oto statystyka z dnia 1 września 1919 r. (Nr. 219):

„Liczba mieszkańców Petersburga spadła do 954.204 osób, wtem 263.633 dzieci“ (to znaczy liczba to 60% do 65% mniejsza, aniżeli w roku 1917).

„Kart chlebowych wydano: dla 1-ej kategorii — 616.023; dla 2-giej — 72.143; dla 3-ej — 2.405; kart „dla ciężko pracujących“ — 143.666. Ta ostatnia liczba odpowiada jądry masy proletariackiej, która wynosi 23% robotników. (1 kategoria). Niepracujący (3 kategoria) stanowią 0.4% ludności. Statystyka narodzin w okresie styczni — sierpień wykazywała 1%. Przyrost ludności wynosi więc w roku 1919 84 na 1.000 osób. W r. 1915 wynosił on 22 na 1.000“. Liczba urodzin spadła więc o 1200 na 1.000 osób. „W okresie od stycznia do sierpnia włącznie umarło 49.519 osób. Zaledwie dwa razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba ta była przekraczana: w r. 1915 i 1906 (52.000 w obydwu wypadkach). Lecz organ oficjalny sowie-tów zapomina, że zanotowano 52.000 wypadków śmierci w czasie trwania epidemii i gdy liczba ludności wynosiła 2.000.000 osób. A więc, jeśli nawet śmiertelność nie wzrosła w Petersburgu w ciągu czterech ostatnich miesięcy roku bież. (1919) — co jest mało prawdopodobne — w ciągu dwunastu miesięcy roku 1919 umrze 74.280 osób: to znaczy, że w komunistycznym Petersburgu umiera 77 osób na 1.000 podczas gdy poprzednio maksymalna śmiertelność wynosiła 26 na 1.000. Śmiertelność wzrosła więc o 200% w porównaniu z latami epidemii i o 360% do 400% w porównaniu z latami normalnymi.

Kilka słów wyjaśnienia co do „jądra zasadniczego“. Ta uprzywilejowana mniejszość ludności Petersburga zasługuje na osobną wzmiankę. „Dziennik Urzędowy“ sowiecki twierdzi, że 23% robotników (15% ogółu ludności) stanowią „jądro“ proletariatu; w rzeczywistości jest to biurokracja sowiecka, komuniści, żołnierze czerwonej armii, milicja i inne osoby ze sfer rządzących. Mniejszość ta może nie obawiać się głodu i dlatego liczy niewielu prawdziwych robotników; mogłaby być nazwaną „jądrem walczącym bolszewizmu“. Stronnicy blokady Rosji sowieckiej powinni liczyć się z tem i rozumieć, że skazując na śmierć większość ludności Rosji, najmniejszej krzywdy nie wyrządzają bolszewickiej kamaryli. Przeciwnie, bolszewicy nawpół głodni tem łatwiej nagną do swoich celów całą ludność, która rzeczywiście umiera z głodu.

Sprostowanie.

W artykule „O podwalinach moralności socjalistycznej“, umieszczonym w zeszycie Nr. 2/14, wkrały się błędy drukarskie następujące:

1) str. 37, wiersz 18 z dołu — wydrukowane: „U podstaw bytu ludzkiego jest tam człowiek“, a winno być: „U podstaw bytu ludzkiego jest sam człowiek“.

2) Ten sam wiersz i następny — wydrukowane 2 razy „prze-
trwać“, zamiast „przetwarzać“.

3) Ta sama strona, wiersz 7 z dołu — wydrukowane: „karał“, zamiast „karcil“.

4 Str. 38, ustęp ostatni, wiersz pierwszy — wydrukowano „ink-
tów społecznych“, zamiast „instytutów społecznych“.

TREŚĆ Nr. 8: Krok naprzód. — Jak rozumiem wstrzemięźliwość proletariacką (B. Siwik). — Jak powstrzymać spadek marki II (E. Lipiński). — Niemiecki przemysł żelazny przed wojną (Hn.). — Interesujące doświadczenie (Sirius). — Pierwszy i ostatni (John Galsworthy). — Teatr: „W małym domku“, dramat Rittnera (Wł. Wolert). — Sztuka: „Zachęta“, szkice Matejki, wystawa karykatur, wystawa prac pr. K. Krzyżanowskiego. — Przegląd muzyczny: Opera, Filharmonja, Konserwatorium, Operetka (J. R.).

Kronika gospodarcza: Rosja w świetle bolszewików.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 3—4 pp.

Wydawca: Spółka wydawn. „Trybuna“.

Redaktor odp.: Wład. Wolert.

Odbito w drukarni „ROBOTNIKA“, Warecka 7.